

AW II / 3527

Maria Jakuszewska

WSPOMNIENIA

Praca nagrodzona I-szą nagrodą w konkursie wojewódzkim pt.
"To warto wspomnieć" w 1975r. organizowanym przez:

- Wojewódzki Dom Kultury
- Związek Emerytów Rencistów i Inwalidów
- Polski Komitet Pomocy Społecznej
w Lublinie

W marcu 1946 roku przybyłam na granicę polsko- radziecką w transporcie polskich repatriantów z Kazachstanu. Formalności związane z przejazdem przez granicę odbyły się szybko i składnie. Jedną tylko myśl zaprzętała nam głowy – by nic nowego się nie wydarzyło i nie opóźniło nam przejazdu przez granicę. Bardzo byłam ciekawa tej nowej Polski, o której rozprawialiśmy nieraz do późna w noc, na którą czekałyśmy przez sześć długich lat w dalekim Kazachstanie. Wiadomości o Polsce, które tam do nas docierały, były skąpe i niejasne. Wiedziałam tylko o grozie wojny, bo na zebraniach ciągle mówiono: że bombardują, że mordują, że palą ludzi w piecach krematoryjnych. Widziałam w drodze, z okien wagonu, zgliszcza i okropne leje wzdłuż torów, po bombach lotniczych. Słyszałam też opowiadania ludzi wracających z niewoli.

Wszystko to podniecało! Chciałam tam być jak najprędzej! Odnaleźć swoich, a potem znaleźć miejsce dla siebie w tej nowej Ojczyźnie i zacząć życie od nowa.

Choć były i takie myśli, co stwarzały wątpliwości – czy Polska obecna przyjmie nas życzliwie i obdarzy zaufaniem? W ten czas przychodziły różne myśli. Dłużyły się dni i tygodnie długiej podróży i zamieniały się w koszmar.

Pewien Żyd zatrudniony w Delegaturze Polskiej - miał obowiązek dopilnowania ostatnich formalności związanych z odejściem transportu szczelnie załadowanego Polakami wracającymi do Kraju – w rozmowie z nim zapytałam dlaczego on nie wraca tym transportem? Powiedział:

- Nie mam czego się śpieszyć. A właściwie dlaczego pani się śpieszy? Czy pani myśli, że zajedzie pod swój dom i zastanie tam wszystko jak było? Nawet firanki w oknie i doniczki z kwiatami? - Dodał drwiąco – W Polsce dziś tak samo jak i tu. Wy ze stepu nie wiecie nic, bo po miastach uświadamialiśmy.

Ja w stepie pracowałam przy budowie linii kolejowej „Stalino-Magnitogorskaja Żelaznaja Doroga”. Byłam uświadomiona co do spraw ogólnych życia socjalistycznego, tylko nie o sprawach Polski – bo tamtych ludzi na budowie nie obchodziły polskie sprawy – było tam dużo różnych narodowości. Uczyli i uświadamiali jak pracować, słuchałam i uczyłam się wielu mądrych, dobrych a jakże prostych spraw. Żyd ten jednak myślał, że wraca do Polski sanacyjna pani. Nie starałam się wyprowadzić go z błędu. Wracałam i śpieszyłam się bardzo, bo byłam Polką – udało mi się dostać do pierwszego transportu. Pewna byłam, że przydam się – gdzie kraj rozwalony i rozdeptany przez okupanta, tam – myślałam – każda para rąk do pracy przyda.

W drodze przez Polskę do miejsca naszego przeznaczenia, po kolei dowiadywałam się wszystkiego. Że Wrocław – miasto polskie, że polski brzeg morski się wydłużył, że do Prus nie trzeba już Niemcom korytarza, o który tak głośno się dopominali. Wiedziałam też, że dom mój rodzinny został już poza mną, że trzeba jechać na Ziemię Odzyskane i tam zaczynać nowe życie. Miejscem mojego przeznaczenia było małe miasteczko Jawor w województwie wrocławskim. Wagony zostawiono na boczniczy kolejowej. Parowóz odszedł. Przez otwarte drzwi towarowego wagonu widziałam stację, niczym nie przypominała mi naszej stacji na Wołyniu. Przypominała natomiast czas wojny – brudne, zaśmiecone dworce kolejowe, przez które przewijają się ludzie wędrujący z worami i tobołami, błoto, słomsko, nawóz koński zawałyły tory na bocznicach. Papierzyska, które wiatr miotał z jednego końca w drugi, przedstawiała obraz niewesoły. Ludzie, przeważnie mężczyźni w wojskowych płaszczach,

przechodząc wzdłuż transportu zaglądali do wagonów, wypytywali skąd przybyliśmy, brali nas za Rosjan. Niektórzy, bardziej zorientowani szukali tu swoich rodzin, znajomych, były wypadki, że znajdowali – podnosił się wtedy w tym wagonie wielki lament.

Ale byli i tacy ludzie, co nas straszili – po co tu zostajemy – jedni radzili do dużego miasta, inni na wieś – to małe miasteczko, nie ma tu fabryk, nie ma tu warunków do życia. Zastraszone i zdenerwowane kobiety poszły same zobaczyć to miasto. Powoli oswajałam się z rzeczywistością, nie przerażały mnie te różne opowieści – nie znałam tych miast, ani ich szans – nie chciałam sama decydować – gdzie zawiozą, na los szczęścia – tam się osiedlę i żyć będę. Było mi dziwnie lekko na duszy, jakby mi zdjęto z bark wielki ciężar.

Chłopcy pobiegli oglądać miasto – nie musiałam się już o nich lękać. Jestem już w Polsce! I ta świadomość dawała mi to odprężenie, tą ulgę, tą radość – można powiedzieć –bo skończyła się wreszcie wędrówka! Ta Polska, która nie witała nas szumnie na granicy z delegacjami i orkiestrą, jednak karmiła nas w drodze. Tu dziś nie czuję się osamotniona, zostawiona sama sobie, że znów muszę myśleć, gdzie i jak zdobyć chleb dla dzieci. Wiedziałam, że PUR zajmie się nami i poradzą jak się tu – w tym obcym dla nas miejscu – zaczynać urządzić.

Z wagonów przeniesiono nas do mieszkań zastępczych, skąd mieliśmy dopiero szukać, a właściwie wybierać odpowiednie dla siebie mieszkania. Miasteczko Jawor było mało zaludnione, gdzie niekiedy siedziały jeszcze Niemki, a większość mieszkań stała pustką. Na peryferiach stały wille otoczone ogródkami, puste i ciche. Tylko wyłamane drzwi frontowe świadczyły o tym, że wchodził tu ludzie – wzięli, co im się podobało i odeszli. Szaber – mówili ludzie – przeszedł już tędy. Samo miasto nie było bardzo zniszczone, gdzie niegdzie sterczały ruiny i straszyły przechodniów. W centrum miasta był kwadratowy plac, a na nim ratusz, co przypominało nasze starówki. Obok w uliczce kościół stary z poczerńiałej cegły – gotyk – otaczał go mały cmentarz, stare powywracane pomniki, płyty, na nich widniały polskie napisy.

Pamiętam, że w bardzo szybkim tempie kobiety wyszukiwały sobie mieszkania i wyprowadzały się z tymczasowego schroniska, co prawda to i panowie z PUR-u zachęcali energicznie do szybkiego urządzania się na swoim. Dobrze mi było w tym tymczasowym mieszkaniu. Dnie spędzałam na łażeniu po mieście, poznawałam je gruntownie. Zachodziłam do urzędów, przyglądałam się ich pracy, wchodziłam do Rady Miejskiej, przesiadywałam na ogólnych zebraniach, na które nas zapraszano, poznawałam ludzi i pomału przyzwyczajałam się do życia w tym mieście. W PUR-ze dostawialiśmy żywność, obiady, zjadaliśmy wtedy wszystko, co dali, bo apetyty nam dopisywały, wiaderko grochówki i bułka chleba na nas pięcioro – bo była ze mną panna, która utraciwszy rodzinę na Syberii przyłgnęła do mnie i tak już wędrowaliśmy razem, moich trzech chłopców i ja – zjadaliśmy na raz tę porcję.

Nie wiem jak długo siedziałabym jeszcze w tym schronisku nie mogąc podjąć decyzji, jakie brać mieszkanie, gdyby nie wydarzenie, które wreszcie zdecydowało o naszej wyprowadzce. Dziś, jak wspomnę tę przygodę to pobudzam słuchaczy do śmiechu, a wtedy to było straszne.

Pewnego razu, kiedy siedziałam w owym schronisku, późnym wieczorem, z dwiema koleżankami, które również ociągały się z wyprowadzką i obradowaliśmy nad tym problemem, usłyszałam człapanie na korytarzu. Ktoś szedł. Drzwi od klatki schodowej były

wyłamane – szybko sprawdziłam, czy drzwi do naszego pokoju są zamknięta na klucz. Zajrzałam do drugiego pokoju, gdzie spali chłopcy, zamknęłam drzwi i cicho naradzałyśmy się co robić, bo właśnie ten ktoś zastukał do nas energicznie, a kiedy nie było z naszej strony reakcji, zagadał:

- Otwórzcie! Wiem, że tam jesteście, widziałem światło w oknach!

Rzeczywiście. Spojrzałam na koleżanki, ale przecząco kręciły głowami. Z dalszej jego mowy zrozumiałam, że jest pijany i za wszelką cenę szuka towarzystwa kobiet. Postanowiłam nie otwierać. Ale pijak był uparty, walił w drzwi, aż echo szło po pustym korytarzu. Wreszcie przyjął inną taktykę:

- Otwórzcie – błagał – ja szukam swojej żony, którą wywieźli na Syberię. Kochana żono otwórz! Tu twój mąż stęskniony!

Spojrzałam na jedną - może to twój? – bo mój na pewno nie! – tamte też zaprzeczyły. A kiedy i to nie pomogło, chłopisko rozszalało się za drzwiami. Zaczął inaczej:

- Ej wy tam! Przybłądy z transportu, myślicie, że będę was prosił? Ja, co walczyłem pod Berlinem! Ja tu dziś dyktuję prawo! Otwierać! – wrzeszczał – bo jak drzwi wywalę, za okna was powyrzucam! – I wałnął ramieniem w drzwi, ale widocznie nie był osiłkiem, bo drzwi ani drgnęły.

- Czekajcie! Znajdę na was sposób! – powiedział i poczłapał w głąb korytarza.

Strach nas obleciał. Co robić? A jak sprowadzi kolegów? A jak drzwi wywalą? Podeszłam do okna – było to drugie piętro – za wysoko, by wyskoczyć. Wołać pomocy? – Na próżno, cisza była na ulicy, ciemno i ani żywego ducha. O tej porze nikt nie chodził, chyba kto miał gwałtowną potrzebę, to i taki śmiałek przemykał się szybko. Chłop tymczasem nawoływał gdzieś jakiegoś Waśkę i szedł z powrotem wlokąc za sobą coś ciężkiego. Zatrzymał się przy naszych drzwiach i widocznie zajrzał przez dziurkę od klucza, bo raptem krzyknął:

- Nie przemykaj się ino otwieroj! – Ja w tym czasie przechodziłam na drugą stronę pokoju, pod piec, z myślą, że jak będzie strzelał, to za piecem zawsze bezpieczniej. Piękny piec kaflowy stał właśnie w tym kącie.

Chwilową ciszę przerwał nagle łomot w drzwi czymś ciężkim. Drzwi zatrzęszczały. I nie wiem czym by się to skończyło, gdyby nie pijacka czkawka, która odebrała mu siły do dalszej walki. Klnąc obrzydliwie i czkając wycofał się pomału na klatkę schodową.

Ta przygoda zadecydowała o naszej wyprowadzce. Rano poszłam do urzędu, gdzie załatwiano formalności mieszkaniowe, a koleżanka upominała mnie bym brała mieszkanie na parterze, by jak zajdzie potrzeba można było uciekać przez okno.

Formalności z objęciem mieszkania tak się wtedy przedstawiały: urzędnik, który szedł z gromadką kobiet na ten dzień zebranych pod urzędem, brał ze sobą drewniany młotek, który widocznie miał czarodziejską moc, bo skoro zastukał do drzwi obranego przez którąś z kobiet mieszkania, natychmiast otwierała Niemka – bo tylko niemieckie kobiety tam jeszcze mieszkały. Gdy wszedł już do mieszkania, a za nim i owa kobieta, pytał ją, czy odpowiada jej to mieszkanie. Naturalnie ona się zgadzała – bo już przedtem upatrzyła je sobie – wtedy pan z młotkiem zwracał się do Niemki po niemiecku. Nie rozumiałam co mówił, ale widziałam stojąc w drzwiach i wywnioskowałam, że Niemka ma wziąć co nieco i opuścić mieszkanie.

Przymknęłam oczy z wrażenia. Obraz sprzed sześciu lat stanął przede mną jak żywy. Ja też tak wychodziłam ze swego mieszkania, tylko wtedy była noc...

Chodziłam tak z tym urzędnikiem po mieście, aż umieścił wszystkich po mieszkaniach. Wtedy zwrócił się do mnie:

- A pani gdzie?

Wtedy pokazałam mu adres. Kiedy stanął przed drzwiami – w które nie trzeba było stukać młotkiem, bo były otwarte – był zdziwiony, że takie opuszczone i splądrowane mieszkanie wybrałam.

- Chce się pani to uprzątać?

Ale formalności załatwił, ja podpisałam i objęłam swoje nowe mieszkanie. Były to dwa pokoje z kuchnią przy głównej ulicy.

Sprzątałam długo. Szorowałam szczotką i proszkiem co się tylko dało, by wyrzucić z tego mieszkania zaduch ponemiecki, by nie przypominało mi Niemców. Wyrzuciłam najprzód z sypialni te marmurowe umywalki – tak u nich charakterystyczne, powynosiłam ogromne landszafty i portrety starych wąsatych generałów w owalnych, czarnych ramach. Bałam się wynosić na śmietnik tak „szacowne” osoby – ustawiłam ich w pustym sąsiednim mieszkaniu. Zadziwiła mnie wtedy ogromna ilość naczyń kuchennych, garnków i garnuszków, dzbanków i dzbanuszków, mieszanina bez kompletu i gustu, poobijane, bez pokrywek. Kupa rupiecica, którą wynosiłam bez końca. A kiedy już powyrzucałam i poszorowałam wszystko, zostawiając to tylko, co było konieczne do codziennego użytku, rozłożyłam swoje stare bety na łóżkach, postawiłam bukiet z wiosennych rozwijających się gałązek, otworzyłam okno i wpłynęło powietrze – czyste, wiosenne. Takie jak u nas, tam daleko na Wołyniu. Usiłowałam nadać temu mieszkaniu nasz swoisty urok polskich domów, ale niestety na razie była to tylko namiastka. Musi upłynąć dużo wody zanim zatrze się ta różnica. Urodzić się muszą nowi, ci co nie widzieli naszych domów, miast i ci dopiero nie będą porównywać. wzdychać i powtarzać, że wciąż coś nie tak jak było u nas.

Pracę podjęłam w kuchni w charakterze kucharki przy fabryce mebli, która wynurzała się powoli z kupy rumowisk i starała się coś już produkować. Dwóch młodszych chłopców poszło do szkoły powszechnej, do ostatniej klasy. Najstarszy chciał pracować – chłopiec energiczny, odważny, pełen temperamentu – nie mógł usiedzieć na miejscu, żądny był czynu, a że miał wiadomości co do traktora i orki był szczęśliwy, że przyjęto do pracy i dano traktor. Opowiadał mi przychodząc z pracy wieczorem, jak to się pracuje razem z Niemcami – co prawda jeńcy, ale fajne chłopcy. Już się rozumiemy. (Uczył się niemieckiego.)

Nie wiedziałam wtedy, że pola wokół miasta były zaminowane, że niemal co dzień karetka pogotowia szybko wiozły rannych do szpitala właśnie z pól, gdzie huk rozrywających się min wstrząsał powietrzem. Słyszałam o tym, ale zainteresowana swoją pracą nie przejmowałam się tym zbyt. Aż pewnego dnia przybiegła do mnie matka, której syna rozerwała mina na polu w czasie orania. Rozpacz tej kobiety wywarła na mnie silne wrażenie. Jak nieprzytomna szłam za pogrzebem, gdzie zebrali się prawie wszyscy z transportu, współczując matce tak strasznej śmierci syna.

Pierwszy strach! Niepokój wdarł się do naszego domu. Wiedziałam, że nie oderwę syna od tej pracy. Gdy go prosiłam zasypał mnie argumentami. On miał rację. On nie miał strachu tylko ja. On wracał nadal, a mnie uspokajał mówiąc:

- Kto będzie orać jak wszyscy będziemy się bać? Trzeba sadzić ziemniaki! Czas najwyższy skoro mamy tu żyć. Nie bój się! Zaufaj mi!

I dla dodania mi odwagi zaczął wspominać czas, kiedy burza śnieżna trwająca już przez trzy dni zasypała barak, w którym mieszkaliśmy wraz z kilkoma rodzinami. Było to w Kazachstanie na Syberii pod miastem Atbasar. I kiedy ludzie głodni zaczęli popłakiwać, on właśnie poszedł do piekarni po chleb. Kto by poszedł w taki czas? Pewna śmierć! Burza syberyjska jest straszna. Wiatr porywa tumany śniegu i nosi go z dołu do góry i z powrotem, i zasypuje wszystko. Człowiek jak na chwilę znajdzie się poza domem czuje się jakby go zanurzono z głową w mleku. Śnieg wciąż wirujący stwarza idealną biel przed człowiekiem, że na krok przed sobą nic nie widać, traci się orientację i biada człowiekowi, którego burza zastanie w stepie. Widziałam, po przejściu takiej burzy, postacie ludzi zamrzniętych w pozie stojącej parę metrów przed osiedlem. Naturalnie nie byli to tubylcy, ci potrafią burzę przewidzieć i szybko zamykają się w swoich jurtach, które są tak urządzone, że mogą przeczekać w nich spokojnie czas „buranu”. W obrębie ich chat jest wszystko, co im potrzeba: studnia, siano dla owiec, suchy nawóz „kiziak” na opał. Wszystko razem obwarowane, nakryte dachem z żerdzi, na żerdzie nawalone siano, które z dołu skubie bydło. Śnieg okrywa grubo całą tą zagrodę i pozwoli przetrwać w mrozy, które następują silne po burzy.

Jakim sposobem doszedł i wrócił on wtedy, nie pamiętam dziś. Dość, że chleb przyniósł i nakarmił wszystkich.

Codziennie wychodziłam do pracy razem ze swoją sublokatorką, która pracowała w biurze w charakterze maszynistki. Żaliła się do mnie pewnego dnia, kiedy tak szłyśmy razem w prześliczny wiosenny ranek, że ma już dość tej swojej pracy, że zazdrości mi mojej – w kuchni. Tobie choć nikt nie przygaduje – mówiła – dobrze gotujesz i z głowy. A czy ty wiesz, co ja wczoraj przeżyłam? Nie mogłam przeczytać pisma dyrektora, musiałam się zwrócić o pomoc do współpracownicy, bo pismo było pilne i sam dyrektor przynaglał, a ta smarkula trąciła łokciem drugą i chichocząc pokazuje oczami na mnie. Słyszałam jak szeptały:

- Nic dziwnego, że nie umie czytać, to jedna z tych z transportu.

Wierz mi, był moment, że chciałam uciekać jak najdalej z tego biura od tych towarzyszy moich. Dlaczego, powiedz, nie znajdzie się tu człowiek świadomy rzeczy, by ich pouczył, że ja sześć lat zamiast pisać na maszynie, byłam murarzem. Palce moje nawykły do szybkiego chwytania cegły i kładzenia na gorącą zaprawę murarską – bo przecież pracowało się w mróz – że przechodził rok za rokiem i nie było czasu ani książki a co mówić o papierze i pisaniu.

- One tego nie wiedzą – starałam się przerwać jej skargę – i dlatego powinnaś zostać tam w tym biurze, uzbroić się w cierpliwość, a umiejętności, które miałaś przed wojną na pewno wrócą. Natomiast zapomnisz jak się łączy cement z piaskiem i jaką daje się proporcję. „Przywykniesz” – jeszcze jej rzuciłam wesoło i rozeszłyśmy się każda do swojej pracy.

Wieczory spędzałam w domu. Miłe były te wieczory, gdy w piątkę zasiadaliśmy wokoło stołu do kolacji, a potem każde z nas brało książkę do ręki i czytało. Nie mogliśmy się nasycić czytaniem.

Pewnego wieczora przyszła do mnie kobieta, którą znałam z wagonu. Ucieszyłam się bardzo! Bo za krótki był jeszcze czas byśmy sobie nawzajem zobojętniały, toteż przy każdej okazji spotkania cieszyłyśmy się i cieszyły ogromnie, jak rodzina. Ale jak przyjrzałam jej się bliżej zadziwił mnie jej smutek rozlany na twarzy. Mówiła mi, że jest chora. Prosiła mnie, bym ją zaprowadziła do szpitala. Do szpitala? Teraz? O tej porze? Aż mnie zatkało!

- Już późno! Szpital zamknięty – tłumaczyłam – trzeba czekać do rana.

Ale ona tak nalegała, że choć bałam się wieczorem chodzić, poszłyśmy. Szpital był niedaleko, ale szłyśmy powoli, bo ona coraz zatrzymywała się i kuliła boleśnie, że myślałam, że już nigdy nie dojdziemy. Szpital stał ciemny i zabarykadowany, nie mogłam się ani dostukać, ani dodzwonić. Przyszedł mi pomysł zejść od kuchni – jak to się mówi, i rzeczywiście, w małym okienku na parterze świeciło się jeszcze. Zastukałam. Drzwi się uchyliły i jasną smugę światła przegrodził łańcuch. Kobięca twarz zaszepotała:

- Czego? Nie przyjmujemy, nie załatwiamy. Proszę przyjść jutro.

I już chciała zamknąć drzwi, ale zobaczyła, że moja towarzyszka z jękiem przycupnęła na progu, a ja korzystając z chwili prosiłam:

- Może pani pójdzie się poradzić, przecież nie zostawię kobiety na dworze... z krwotokiem! – raptem wpadł mi do głowy pomysł – Trzeba jej pomóc!

- Poczekajcie – powiedziała i poszła.

Ja tymczasem wsunęłam rękę w jasną szczelinę światła i namacałam łańcuch. Nadwyrężony – jak przypuszczałam – dał się otworzyć bez trudu. Przeprowadziłam kobietę przez próg i zamknęłam drzwi.

Na drugi dzień przed pracą pobiegłam do szpitala. Jakież było moje zdumienie, gdy mi powiedziano, że ten „krwotok” leży już przy mamie i płacze. Kiedy ją odwiedziłam w późniejszym czasie, nie ona się wstydziła, że przywiozła z Kazachstanu małego, czarnego, kosookiego Mongołka, tylko ja – doświadczona kobieta – która nie poznała się na tej tak prostej sprawie. W niedużej jasnej sali, pod ciepłą poniemiecką pierzyną leżała moja towarzyszka z wagonu i tuliła do piersi maleństwo. Na twarzy jej był smutek. Czego mam się cieszyć? – mówiła – Dostałam list od męża z Anglii. Píše, że już się tam zadomowił i nie ma zamiaru wracać do Polski. Chce mnie zabrać. Ja się martwię... czy zechce mnie z dzieckiem. Przecież muszę mu napisać. Nie mogę ryzykować. Już tyle lat przeszło, ja go nie znam jaki on tam?

- Tak, masz rację – mówiłam – on też nie wie jaka ty teraz. Ale wiem jedno, że on, ten twój mąż już nie Polak! Napisz do niego, poszlij swoje z dzieckiem na rękę zdjęcie. Jak mu się podoba, to wtedy jedź.

- A jak nie – szepnęła.

- To nie pojedziesz i będziesz żyć tu jak my, co nie znalazłyśmy swoich mężów. Są takie, co nie wiedzą nawet gdzie jego grób. Mój mąż, znasz tę opowieść... walczył w 39 we wrześniu i do dziś nie wrócił i co? Nie obrażaj się jak ci powiem szczerze. Gdyby dziś mój mąż wrócił z obozu chory i niedołężny, jak wielu dziś wraca, witałabym go z radością! Ale gdyby tak nawoływał z Anglii, czy z innego tam dobrobytu i kazał mi jechać do siebie – nie pojechałabym. A wiesz dlaczego? Bo ja mam taki charakter, że mogę być szczęśliwa tylko w Polsce ze swoimi!

Prawdę mówiła moja koleżanka mieszkająca ze mną, że pracę w kuchni mam dobrą i łatwą, tylko myliła się co do stosunków z pracownikami. Stosunki były trudne, nie rozumiałyśmy się nawzajem. Ludzie ci, co się tu zbiegli z różnych stron Polski, każdy miał swój charakter i inne poglądy co do wspólnej sprawy – właśnie tej kuchni. Ja, co z natury lubiłam ład i porządek, nie mogłam zrozumieć tych ludzi, którzy zachowywali się dziwnie – jak dla mnie, która spadła tu jakby z innego świata. Wszyscy tu się zachowywali jakby jutro już miało ich tu nie być, wszystko aby dziś. Słyszało się nie raz: a kto tu będzie wiekował?

Zastanawiało mnie to gadanie, dlaczego ci ludzie wątpią w stałość granic? Dlaczego straszą – że tylko patrzeć jak Niemcy nas stąd popędzą.

Lubiłam kuchnię. Lubiłam gotować, ale chciałabym by kuchnia wyglądała tak, jak ja ją widziałam: czysta i schludna.

Kiedyś, kiedy byłam jeszcze bardzo młoda, w czeskiej wsi u gospodyni, która miała gospodę i właśnie u niej w kuchni brałam lekcje kucharowania, naturalnie z amatorstwa. Dziś jeszcze pamiętam jaka tam była higiena. Co wieczór szorowano sosnową podłogę aż do białości. Płyta i garnki lśniły. Białe krochmalone fartuchy wisiały na ścianie rzędem. Białe ściereczki co dzień świeże. Co ciekawsze, że nikt nie gonił do tego, było to zrozumiałe samo przez się. A tutaj?...

Nie wiem, dziś myślę, że może gdybym tam dłużej popracowała, może bym i zaprowadziła taki ład. Mówiłam kierownikowi o tych moich kłopotach, odpowiedział:

- Trzeba mieć wyrozumienie i cierpliwość, bo nam uciekną jak będziemy wymagać za dużo. A pani widzi przecież, że nie ma chętnych do pracy zbyt dużo. Ludzie ci, co tu przyjeżdżają to jak turyści. Chodzą, oglądają, szukają i odjeżdżają. Kiedyś to się zmieni na pewno, ludzie nabiorą zaufania, uspokoją się nerwowo. Przecież to dopiero drugi rok po wojnie, nie można im się dziwić.

Może miał i rację, czas wszystko może zmienić.

Jeszcze jedna przykra sprawa była w tej kuchni:

Kiedy wydawałam obiady, robotnicy biorąc z okienka swoje miseczki, zaglądali w nie i szemrali, że małe porcyjki mięsne. A co śmielszy wołał:

- Nie może to pani postarać się o większy przydział?

I tak dobra praca miała swoje i złe strony.

Raz, kiedy wracałam z pracy do domu spotkałam grupę kobiet znajomych, od których dowiedziałam się, że chodziły w sprawie ubrań do urzędu. Były zdenerwowane, mówiły wszystkie naraz. Zrozumiałam jedno: nic nie załatwiły, nic nie dostały i że jutro rano idą znów i co one tam nie robią! Ale ubrania muszą dostać! Była to i moja bolączka, bo łachów to było, ale żeby coś czystego, dobrego i na miarę – to nie. I wciąż widziało się ludzi, tych właśnie z transportu, chodzących w cudacznych ubraniach. Czuliśmy się jak trędowaci. Bywało i tak, że idąc gromadką schodziliśmy na jezdnię i wtedy szliśmy swobodnie, nie przeszkadzając tym ludziom na chodnikach. Poszłam w tej sprawie do Partii, tym bardziej, że i moi chłopcy potrzebowali na gwałt jakichś przyzwoitych ubrań, by się nie wyróżniać w szkole między dziećmi. Na wstępie bardzo przyjemny pan przywitał mnie i prosił siadać. Pytał uprzejmie, czy się już urządziłam, gdzie pracuję, czy z pracy jestem zadowolona. A kiedy skończyły się uprzejmości i chciałam mówić z czym przyszłam, nie dał mi dojść do słowa, tylko swoje: czy do Partii już wstąpiłam?... Resztkami sił opanowując wzburzenie udało mi się przerwać mu mowę

- Proszę pana – mówię – ja jestem członkinią Związku Patriotów Polskich w ZSRR, może i tu zainteresuję się polityką, ale muszę na to mieć czas i warunki. Proszę wysłuchać. Ja nie mam ubrania dla siebie i dzieci, jak mnie pan widzi...

On wyciągnął ręce przed siebie jakby zobaczył diabła i woła:

- To nie u nas! Złe pani trafiła! Proszę się zgłosić w „Opiece”...

Ale ja nie ustąpiłam tłumacząc, że nas tam źle przyjęli, że dają nam stare łachy pożydowskie, te z obozów zagłady. Ja chcę włożyć coś takiego jak tu ludzie noszą, by wreszcie przestano pokazywać nas palcami!

Chcę takie ubranie – szukałam określenia – jak ma pańska żona! (Choć nigdy jej nie widziałam.) Skutek był taki, że on wyszedł, a ja żałowałam, że się uniosłam i dalej chodziłam w angielskich spodniach i rosyjskich butach wojskowych.

Nie pracowałam, byłam na zwolnieniu lekarskim. W przychodni codziennie powiększała się liczba pacjentów – ludzie z transportu chorowali. Lekarze mówili: żołądek musi się przestawić na inną formę odżywiania. Woda, chleb żytni – którego nie jedliśmy przez sześć lat – mięso a i zmiana powietrza dużą odgrywa rolę. Mnie przy tym bolało jeszcze serce. Chorobę tę zauważyli już lekarze tam w ZSRR. Pierwszy atak serca dostałam przy pracy na rusztowaniu na budowie.

Leżałam. Niewesołe myśli krążyły mi po głowie. Dotychczas wystarczyło mi, że miałam gdzie mieszkać, że nie byliśmy głodni. A dalej? Ludzie jak zaczynają życie od nowa a w szczególności po wojnie, to są jak mrówki, gdy im ktoś, czy coś rozwali mrowisko, szybko i z ogromną energią starają się je naprawić. Tak i ja chciałam już mieć to i owo, ale na to trzeba było pieniędzy. Te smutne myśli przerwało wejście jakiegoś człowieka, który chciał, żebym mu dała klucz od swojej piwnicy, gdy mu odmówiłam, powiedział:

- Jaka tam ona pani skoro z niej pani nie korzysta.

Z jego słów wywnioskowałam, że zna zawartość mojej piwnicy. Były tam na półkach poustawiane w należyтым porządku farby, lakiery i przeróżne chemikalia.

- Nie ma pani talentu do handlu. Jakby to pani mnie dała, naturalnie za jakąś opłatą, ja bym zawiózł do Polski. Tam teraz takich rzeczy nie ma.

Takich tam wtedy widziałam ludzi, którzy potrafili ciągnąć korzyści z rzeczy, których drugi nawet nie zauważył.

Nie wiem jakby się tam moje życie ułożyło. Lekarze nie radzili pracować, tylko się leczyć i wypoczywać. Nie wiem, wierzyłam, że co ma wisieć nie utonie. I rzeczywiście los zdecydował. Parę dni potem będąc już w kuchni, wydając ostatnie posiłki, usłyszałam wołanie:

- Proszę iść prędzej, bo mąż panią szuka! O tam, na podwórzu!

Wydało mi się, że posadzka pod nogami nagle zawirowała. Miskę trzymaną w ręku z trzaskiem postawiłam na parapet okienka. aż ktoś z tamtej strony uskoczył szybko. Wybiegłam. Na pierwszy rzut oka wiedziałam, że nie był to mój mąż. Wysoki, bardzo szczupły blondyn w wojskowym płaszczu i rogatywce stał rzeczywiście na podwórzu i rozglądał się ciekawie. Zobaczywszy mnie już biegł. A ja, dopiero jak mnie objął i uniósłszy w górę całował - Maryśka! – mówił - czyż mnie nie poznajesz? – spojrzałam mu w oczy. Romek! Był to mój brat najmłodszy, którego ostatnio widziałam w 39 roku w mundurku uczniowskim, a dziś w wojskowym mundurze. Żołnierz Polski.

Jak długo staliśmy tak w uścisku, nie wiem, czas dla nas stanął. Dopiero śmiech dziewcząt z okien kuchni i ich mowa doleciały do mnie.

- Patrzcie! Znów będzie musiał szukać nowej kucharki, bo tą już na pewno mąż zabierze.

Cała noc zeszła nam na opowiadaniu. Co on i co ja przeszłam. Opowiadał jak uciekał od Niemca z parowozu w Kowlu, gdzie zmuszono go, by był maszynistą, jak poszedł w las z partyzantami, jak zostawił w Kowlu rodziców samych w chacie. Jak dostał się do Armii Polskiej, potem szedł pod Warszawę, forsował Wisłę, tam został kontuzjowany, ile leżał w szpitalu, aż skończyła się wojna i odnalazł rodziców w Lublinie. Na samo wspomnienie rodziców stanęli mi przed oczami. Jak oni tam żyją w tym dużym mieście, Lublinie.

A w szczególności Ojciec, on tak nie lubił dużych skupisk ludzkich, dużych miast, kochał przyrodę, ogrodnik amator.

Całe swoje młode lata zbierał grosz do grosza, by kupić sobie domek i choć mały własny ogródek, by oddać się swojej pasji. Podziwiali zawodowi ogrodnicy jego osiągnięcia w dziedzinie ogrodnictwa. Po godzinach zawodowej swej pracy szedł do ogrodu. Lubiłam chodzić z nim i podglądać w tej pracy. Lubiłam słuchać jak przemawiał do swoich drzewek.

Raz zdziwiona jego mową do gruszy, która pięknie rosnąc nie owocowała:

- Nie możesz tak stać piękna, dorodna i robić mi wstyd. Musisz mieć owoce! Zaraz zrobię ci operację, jak to nie pomoże zmuszony będę cię wyrzucić.

Patrzyłam co będzie, a on ciął nożem korę od dołu do góry pod samą koronę, i co sześć centymetrów drugie cięcie i tak w koło pnia. Na drugi rok miała owoce!

I on dziś wyrwany ze swojego Raju wymarzonego siedzi gdzieś w kącie u obcych ludzi, jak krzew wyrwany i rzucony pod płot. Czy tam czepią się jeszcze korzenie ziemi i rosnąć będzie? A Matka? Chora, z załamaną czaszką odłamkiem bomby? – Siedzieli w piwnicy przez ciąg walk, które przechodziły przez Kowel, aż żołnierze rosyjscy znalazłszy ich tam z litości wygnali do lasu.

Opowiadał jeszcze, jak milicjant dzielnicowy przyniósł im mój adres, mówiąc, że ich poszukuję. Świtało już, kiedy mi powiedział, że muszę jechać z nim. Tu cię samą nie zostawię – mówił. My nie nadajemy się na pionierów. Nas wojna wyrzuciła na margines życia. Inwalidą jestem, a ty jak słyszysz też. Ja chciałam go przekonać, że moje miejsce jest tu, że mogę wziąć domek jednorodzinny. Tylko że sama się boję. Żadne argumenty nie trafiały do jego przekonania. Mówił mi, że nam trzeba ulokować się gdzieś w zaciszu, z dala od granicy. Dostyc już tych kresów wschodnich czy zachodnich.

Kwietniowy dzień wstawał pogodny. Stara Niemka dawnym zwyczajem zamiatała chodnik, prawie myła mokrą szmatą owiniętą na szczotce.

Zgodziłam się jechać z bratem. Dziwny skurcz w okolicach serca trzymał bez przerwy i czułam strach. Bałam się zostać sama.

„Maria”

Lublin, dnia 19 stycznia 1975 r.